

JOHN MAXWELL COETZEE

## DZIECIŃSTWO JEZUSA

Człowiek przy bramie wskazuje im niski, rozległy budynek w głębi.

– Jak się pośpieszycie – mówi – to zdążycie się zarejestrować zanim zamkną biuro.

Śpieszą się. *Centro de Reubicación Novilla* – głosi napis. *Reubicación*: co to znaczy?

Nie uczył się takiego słowa.

Biuro jest ogromne i puste. Panuje w nim upał – jeszcze większy niż na zewnątrz. Po przeciwnej stronie od wejścia przez całą szerokość pomieszczenia biegnie drewniany kontuar, podzielony na przegrody szybami z matowego szkła. Pod ścianą rząd kartotekowych szaf z lakierowanego drewna.

Nad jedną z przegród widnieje napis: *Recién Llegados* – szablonowe litery na prostokącie z kartonu. Urzędniczka za kontuarem, młoda dziewczyna, uśmiecha się na powitanie.

– Dzień dobry – mówi mężczyzna. – Jesteśmy nowi.

Wypowiada słowa powoli, w języku hiszpańskim, którego opanowanie kosztowało go tyle trudu.

– Potrzebna mi praca i jakiś dach nad głową.

Chwyta chłopca pod pachy i podnosi tak, żeby urzędniczka mogła go zobaczyć.

- Mam ze sobą dziecko.

Dziewczyna wyciąga rękę do małego.

– Witam, młody człowieku! – mówi. – To pana wnuk?

- Ani wnuk, ani syn, ale jestem za niego odpowiedzialny.

- Dach nad głową... Patrzy w papiery. – Mamy tu w Ośrodku wolny pokój, którego może pan używać do czasu znalezienia czegoś lepszego. Żaden luksus, ale to chyba panu nie przeszkadza. A co do pracy, zajmiemy się tym jutro rano. Wygląda pan na zmęczonego i pewnie chce pan odpocząć. Z daleka idziecie?

- Cały tydzień w drodze. Przyszliśmy z Belstaru, z obozu. Zna pani Belstar?

- Znam, i to dobrze. Sama przeszłam przez Belstar. Tam się pan nauczył po hiszpańsku?

- Mieliśmy lekcje codziennie przez sześć tygodni.

- Sześć tygodni? To szczęściarz z pana. Ja spędziłam w Belstarze trzy miesiące. Konałam z nudów. Jediną rzeczą, jaka mnie trzymała przy życiu, były lekcje hiszpańskiego. Uczyła was może señora Piñera?

- Nie, uczył nas mężczyzna.

Waha się przez chwilę.

- Mogę spytać o coś innego? Mój mały – patrzy na dziecko – nie czuje się dobrze. Trochę dlatego, że jest zdenerwowany; zagubiony i zdenerwowany. I nie odżywiał się jak należy. Jedzenie w obozie mu nie smakowało. Czy można tu gdzieś dostać porządny posiłek?

- Ile chłopiec ma lat?

- Pięć. Tyle mu wpisali.

- I mówi pan, że to nie wnuk?

- Ani wnuk, ani syn. Nie jesteśmy spokrewnieni. Proszę – wyjmuję z kieszeni dwa paszporty i podaje urzędnicze.

Ta przygląda im się uważnie.

- Zostały wydane w Belstarze?

- Tak. Tam otrzymaliśmy nasze imiona, nasze hiszpańskie imiona.

Kobieta przechyla się przez kontuar.

- Dawid – mówi. – Ładne imię. – Podoba ci się twoje imię, młody człowieku?

Chłopiec patrzy na nią spokojnie, ale nie odpowiada. Co widzi urzędniczka? Chude, blade dziecko, ubrane w wełniane, zapięty pod szyję kubrak, szare spodnie do pół łydki, wełniane skarpety, czarne, sznurowane trzewiki i noszoną na bakier sukienną czapkę.

- Nie jest ci za gorąco? Może zdjąłbyś tę kapotę?

Chłopiec kręci przecząco głową.

Mężczyzna wtrąca:

- To ubranie z Belstaru. Sam sobie takie wybrał z rzeczy, które mieli do zaoferowania. Jest do niego bardzo przywiązany.

- Rozumiem. Pytałam, bo wydawało mi się, że jest trochę za ciepło ubrany jak na dzisiejszy dzień. Pozwolę sobie nadmienić, że mamy tu w Ośrodku magazyn, gdzie ludzie oddają odzież, z której ich dzieci już wyrosły. Jest otwarty co rano w dni powszednie. Zapraszam do skorzystania. Znajdzie pan tam większy wybór ubrań niż w Belstarze.

- Dziękuję.

- Kiedy już wypełni pan wszystkie niezbędne formularze, może pan też pobrać pieniądze na podstawie książeczki rozrachunkowej. Przysługuje panu zasiłek na zagospodarowanie, w wysokości czterystu reali. Chłopcu też. Po czterysta na głowę.

- Dziękuję.

- A teraz zaprowadzę was do waszego pokoju.

Przechyla się w bok i szeptem coś do kobiety w sąsiednim boksie, oznaczonym napisem *Trabajo*. Tamta wyciąga szufladę, szpera w niej, kręci głową.

- Mały problem – mówi dziewczyna. – Chyba nie mamy klucza do pańskiego pokoju. Musi być u szefowej nadzoru budowlanego. Ona się nazywa señora Weiss. Pójdzie pan teraz do budynku C. Narysuję panu plan. Jak pan znajdzie señorę Weiss, poprosi pan o klucz do C-55. Niech pan powie, że przysłała pana Anna z głównego biura.

- Nie łatwiej by było dać nam jakiś inny pokój?

- Niestety, C-55 to jedyny pokój, który jest wolny.

- A jedzenie?

- Jedzenie?

- Tak. Czy możemy gdzieś się posilić?

- Z tym też się proszę zwrócić do señory Weiss. Powinna być w stanie panu pomóc.

- Dziękuję. I jeszcze ostatnie pytanie: macie tu organizacje, specjalizujące się w łączeniu ludzi?

- Łączeniu ludzi?

- Tak. Przecież jest tu na pewno mnóstwo osób, szukających członków rodziny. Czy istnieją organizacje, które pomagają w odnajdywaniu rodzin – rodzin, przyjaciół, ukochanych?

- Nie, nigdy nie słyszałam o takiej organizacji.

Po części dlatego, że jest zmęczony i zdezorientowany, po części dlatego, że plan naszkicowany przez dziewczynę jest niewyraźny, po części z powodu braku jakichkolwiek znaków informacyjnych, mężczyzna długo kluczy, zanim w końcu udaje mu się znaleźć budynek C i biuro señory Weiss. Drzwi są zamknięte. Stuka. Żadnej odpowiedzi.

Zatrzymuje przechodzącą obok drobną kobietę o spiczastej, mysiej twarzy, noszącą czekoladowy mundur z godłem Ósrodka.

- Szukam señory Weiss – mówi.

- Już ma fajrant – odpowiada kobieta, a widząc, że mężczyzna nie rozumie, dodaje: – Skończyła pracę na dzisiaj. Przyjdźcie rano.

- A może pani mogłaby nam pomóc? Szukamy klucza do pokoju C-55.

Kobieta kręci głową: – Przykro mi, ale nie zajmuję się kluczami.

Wracają do *Centro de Reubicación*. Drzwi są zamknięte. Mężczyzna skrobie paznokciem w szybę. Żadnego znaku życia w środku. Skrobie znowu.

- Chce mi się pić – marudzi chłopiec.

- Zaczekaj jeszcze chwilę. Zaraz poszukam jakiegoś kranu.

Zza węgła wyłania się Anna.

- Stukał pan do drzwi? – pyta.

Znów jest uderzony jej młodością, zdrowiem i świeżością, które wprost z niej promieniują.

- Wygląda na to, że señora Weiss poszła już do domu – mówi. – Nie może pani czegoś zrobić? Nie ma pani – jak się to nazywa? – *llave universal*, żeby otworzyć nasz pokój?

- *Llave maestra*. Nie istnieje taka rzecz jak *llave universal*. Gdybyśmy mieli *llave universal*, skończyłyby się wszystkie nasze kłopoty. Nie, señora Weiss jest jedyną osobą z *llave maestra* do budynku C. Ale może ma pan jakiegoś przyjaciela, który by was przenocował? Wtedy wróciłby pan rano i porozmawiał z señorą Weiss.

- Przyjaciela, który by nas przenocował? Dopłynęliśmy do tych brzegów sześć tygodni temu i od tamtej pory mieszkaliśmy w obozowym namiocie na pustyni. Jakże więc może pani oczekiwać, że mogę tu mieć przyjaciół, którzy by nas przenocowali?

Anna marszczy brwi. – Idźcie do głównego wejścia – nakazuje. – I zaczekajcie przed bramą. Zobaczą, co się da zrobić.

Mijają bramę, przechodzą na drugą stronę ulicy i siadają w cieniu pod drzewem. Chłopiec kładzie głowę na ramieniu mężczyzny. – Chcę pić – skarży się. – Kiedy znajdziesz kran?

- Ććć... – mówi mężczyzna. – Posłuchaj ptaków.

Słuchają śpiewu obcego ptaka, czują na skórze powiew obcego wiatru.

Pojawia się Anna. Mężczyzna podnosi się i macha do niej. Chłopiec także zrywa się na nogi, z rękami sztywno przyciśniętymi do boków i kciukami zamkniętymi w pięściach.

- Przyniosłam trochę wody dla pańskiego syna – mówi dziewczyna. – Masz, Dawid, pij. Dziecko pije, potem zwraca kubek kobiecie. Ona chowa go do torebki. – Dobrze było? – pyta.

- Tak.

- Cieszę się. Chodźcie teraz ze mną. To kawałek drogi, ale można potraktować marsz jak ćwiczenie.

Rusza z wawym krokiem ścieżką wiodącą przez park. Atrakcyjna kobieta, bez dwóch zdań, choć nie najlepiej ubrana: ciemna, bezkształtna spódnica, biała bluzka zapięta pod szyję, pantofle na płaskim obcasie.

Gdyby był sam, dotrzymałby jej kroku, ale z dzieckiem na ręku nie daje rady. Woła:

- Nie tak szybko, proszę!

Anna nie zwraca na niego uwagi. Śpieszy za nią przez park, przez ulicę, przez następną ulicę, ale dzieląca ich odległość coraz bardziej wzrasta.

Przed wąskim, pospolicie wyglądającym budynkiem, dziewczyna zatrzymuje się i czeka.

- Tu mieszkam – mówi. Otwiera kluczem frontowe drzwi. – Proszę za mną.

Prowadzi ich przez mroczny korytarz do tylnego wyjścia, a potem drewnianymi, koślawymi schodami na małe podwórko, zarośnięte trawą i chwastem, zamknięte z dwóch stron płotem z desek, a z trzeciej drucianą siatką.

- Siadajcie – mówi, wskazując na zardzewiałe żeliwne krzesło do połowy ukryte w trawie. – Przyniosę wam coś do jedzenia.

Mężczyzna nie ma ochoty siadać. On i chłopiec czekają przy drzwiach.

Dziewczyna wyłania się z domu niosąc talerz i dzbanek. W dzbanku jest woda, a na talerzu cztery kromki chleba posmarowane margaryną. Dokładnie to samo, co dostawali na śniadanie w stacji pomocy społecznej.

- Jako nowoprzybyli musicie mieszkać w wyznaczonej kwaterze albo na terenie Ośrodka – oznajmia Anna. – Ale nic się nie stanie, jeśli pierwszą noc spędzicie tutaj. Ponieważ jestem zatrudniona w Ośrodku, możemy przyjąć, że mój dom pełni rolę oficjalnej kwatery.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, bardzo wielkodusznie – mówi mężczyzna.

- Tam w rogu są resztki materiałów budowlanych – pokazuje dziewczyna. – Jak pan chce, to może pan sobie z tego zrobić schronienie. Poradzi pan sobie sam?

Patrzy na nią skonsternowany.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem – mówi. – Gdzie właściwie mamy spędzić noc?

- Tutaj – dziewczyna pokazuje na podwórko. – Wrócę za chwilę i zobaczę, jak panu idzie.

Wspomniane materiały budowlane to kilka płatów galwanizowanej blachy, miejscami przeżartej przez rdzę – pewnie z jakiegoś starego dachu – i trochę kawałków drewna różnej wielkości. Czy to jakaś próba? Czy ona naprawdę myśli, że on i dziecko mają spać pod gołym niebem? Czeką na obiecany powrót, ale dziewczyna się nie pojawia. Próbuje otworzyć tylne drzwi; są zamknięte. Kołacze. Żadnej odpowiedzi.

O co chodzi? Czy ona stoi za firanką, obserwując jego reakcję?

Nie są uwięzieni. Łatwo mógłby odgiąć drucianą siatkę i uciec. Czy tak właśnie powinni postąpić; czy raczej zaczekać i zobaczyć, co będzie dalej?

Czeka. Anna zjawia się ponownie, gdy słońce zaczyna już zachodzić.

- Niewiele pan zrobił – rzuca, marszcząc brwi. – Proszę – wręcza mu butelkę wody, ręcznik i rolkę papieru toaletowego, a widząc jego pytające spojrzenie dodaje: – Nikt tu pana nie zobaczy.

- Zmieniłem zdanie – mówi mężczyzna. – Wracamy do Ośrodka. Musi tam przecież być jakieś pomieszczenie, gdzie moglibyśmy spędzić noc.

- Nic z tego. Bramy Ośrodka są już zamknięte. Zamykają o szóstej.

Mężczyzna ze złością podchodzi do sterty blachy, wyciąga dwa arkusze i opiera je pod kątem o drewniany płot. To samo robi z trzecim i czwartym arkuszem, tworząc prymitywny szałas.

- Tak sobie pani wyobrażała nasz dach nad głową? – pyta, odwracając się w stronę dziewczyny. Ale jej już nie ma.

- Tu będziemy spać dziś w nocy – mówi do chłopca. – To będzie przygoda.

- Jestem głodny – odpowiada chłopiec.

- Nie zjadłeś chleba.

- Nie lubię chleba.

- Trudno, będziesz się musiał do niego przyzwyczaić, bo to wszystko, co mamy. Jutro znajdziemy coś lepszego.

Chłopiec nieufnie bierze kromkę chleba i nadgryza ją. Paznokcie, zauważa mężczyzna, ma czarne od brudu.

W dogasającym świetle dnia układają się w swoim schronieniu, starszy na posłaniu z trawy, młodszy w zagłębieniu jego ręki. Po chwili chłopiec już śpi, z kciukiem w ustach. Do mężczyzny sen nie przychodzi. Nie ma płaszcza; ziąb powoli wsącza się w jego ciało; zaczyna drżeć.

*To nic poważnego, to tylko zimno, nie zabije cię – mówi do siebie. – Noc minie, wszędzie słońce, wstanie dzień. Żeby tylko nie było robactwa. Wszystko, tylko nie te pełzające robaki.*

Zasypia.